№. 42.

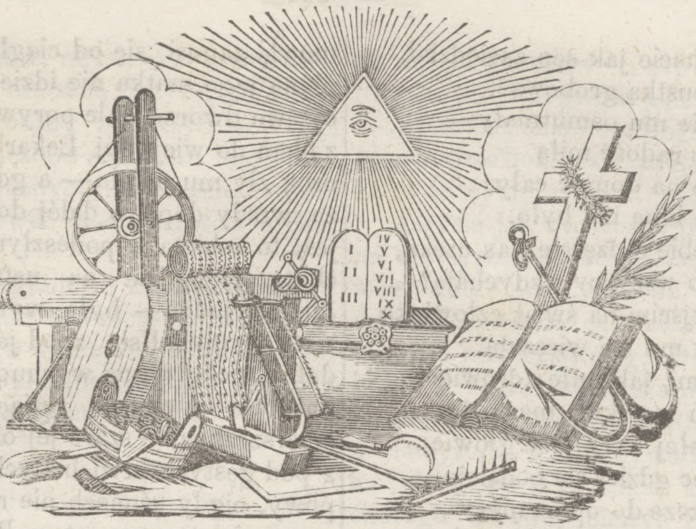
Warszawa

Dnia 7 (19) Października

1856.

Niedziela

23cia PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Strzeż Panie! prosimy, ludu Twego ustawicznem zmiłowaniem, abyśmy od wszelkich przeciwności przez Twą łaskę zachowani, dobrymi uczynkami Imię Twoje nabożnie czcili. (Modlitwa kościelna na niedzielę 23 po Świątkach).

O Niebie.

Jakież tam w niebie szczęście nas czeka,
Że tak do niego wszyscy wzdychają?
Że zapłakane oczy człowieka
Zawsze w obłoki się zawracają?
Matka Chrześcianka, gdy wyprawuje
Dziecię do ludzi, to je opłacze
I tak powiada: „żal w sercu czuję,
„Że może ciebie już nie zobaczę.
„Przyjdzie ci różnéj kosztować doli
„Od ojczystego gniazda daleko —
„Nieraz cię pycha ludzka zaboli,
„I łzy jak woda z powiek pocieką.
„A już nie będzie na piersi czyje
„Tych łez wypłakać, biedna dziecino!
„Matczyna chusta ich nie wypije —
„Całe godziny, dni tak przeminą.
„Niech cię ta wiara w złéj chwili krzepi,
„Com ją wszczepiła z paciorkiem w ciebie,
„Co nas naucza, że będzie lepiéj
„U Pana Boga w rozkosznem niebie.“
Gdy takie słowa matka wypowie,
Zaraz jéj ciężar z serca opada,
Już jeno prosi Boga o zdrowie
I zawiniątko na drogę składa.
Ale ostatnie matki żegnanie
Kogo w kolebce jeszcze spotkało,
Temu do Nieba tęskne wzdychanie
Zabierze serce i duszę całą.
Gdy na gościńcu zbłąka się dziecię
A każda przed niem zamknięta chatka,
Pusto mu, cudzo na bożym świecie,
I znikąd żadna nie wyjdzie matka;
To Bóg prowadzi dobrego człeka,
Co groszem, chlebem sierotę raczy
I łzy jéj otrze, a potem czeka,
Czy nowych w oczach łez nie zobaczy.
Jak się pokażą, znów je ociera,
A jak ich jeszcze nie utamuje,
To tęsknem okiem w niebo poziera,
I na obłoki dziecku wskazuje.
Wtedy sierota płakać przestaje,
Jakby jéj głosy szeptały wieszcze,
Że choć tu dla niéj puste są kraje,
To coś swojego w niebie ma jeszcze.
I każdy człowiek, gdyby nie wiedział
Co tam jest w górze nad jego głową,

Toby w swéj chacie jak sęp zasiedział,
Życieby było pustką grobową,
Ścianyby w izbie mu osmutniały—
I to ognisko, co radość miłą
Z komina niesie na domek cały,
Jużby mu takie lube nie było.
To jakież w niebie szczęście nas czeka,
Że tak do niego wszyscy wzdychają?....
Łez, co po przyjściu na świat człowieka
Zaraz u powiek mu się wieszają,
Co są świadkami, jak miłe zdrowie
Pośród utrapień gorzkich marnieje,
I z lic przy zwisłéj na piersi głowie
Młody rumieniec gdzieś się podzieje—
Łez, co ich jeszcze do opłakania
Weselszych czasów starcowi trzeba,
Co je człek nieraz śmiechem osłania...
Tych łez już nie ma w krainach nieba!
Tam na obliczu, na świętem Bożem
Już tajemniczéj nie ma zasłony,
Co jéj na ziemi przejrzeć nie możem,
Choć się w niéj topi wzrok utęskniony.
Z odsłoniętego Oblicza Boga
Ta wiekuista światłość tam bije,
Co się w niéj skończy żałość i trwoga
I ziemskie troski, i bóle czyje.
Ale tam dusza zmazana grzechem
Niestety! nigdy się nie dostanie....
Kto na łzy bliźnich patrzy ze śmiechem,
Kogo nie wzrusza sieroty łkanie,
Kto pasmem samych dobrych uczynków,
Wielkiemu Bogu czci nie przysporzy,
Komu się życie z świętych spominków
Przebytych trudów i łez nie złoży—
Kto drwi z miłości i poświęcenia,
Kto uczuciami gardzi tkliwemi
Próżno się, próżno jego westchnienia
Do górnych krain podnoszą z ziemi!

Urocze oczy.

WSTĘP.

Mało jest takich wsi, a nawet miasteczek, którychby mieszkańcy wolni byli od rozmaitych przesądów i zastarzałych, pewno jeszcze pogańskich guseł. Niech tylko dręczone od bólu niemowlę zanosi się od ciągłego krzyku, to strapiona jego matka nie idzie szukać rady i pomocy we dworze, ale porywa dziecię, i biegnie z niem do wiejskiéj Lekarki, aby je zażegnała i urok zły mu odjęła— a gdy choroba się wzmoże, wtedy dopiero daléj do Pani. Owa Lekarka jest to kobieta w podeszłym wieku, najczęściéj chata jéj gdzie na ustroniu— lub w lesie. Znałam jednę— była wysokiéj postaci, włos siwy wymykał się zpod jéj pstréj chustki i spadał w nieładzie na wychudłe ramiona— twarz pożółkła wiekiem, tysiącznemi okryta była zmarszczkami—szare jéj oko ponuro błyszczało z pod gęstych brwi białych, głos jéj był chrapliwy, nigdy uśmiech nie rozjaśnił ponurego lica— mimo to owa stara Błaszkowa wielkiéj używała sławy i o kilka mil nawet do niéj się schodzono. Mieszkała ona niedaleko od wsi w ciemnym, sosnowym borze w małéj komórce, przytykającéj do wpół rozwalonéj karczemki.— Myślałam, że Błaszkowa zna własność ziół i niemi leczy niemoce, gdzie tam! badałam dawne jéj chore, które się potem do mnie udały, i z żalem dowiedziałam się, że cała jéj sztuka zasadzała się na gusłach, a pozyskaną sławę winna była jedynie przypadkowi.

Gdy jéj siną od płaczu podadzą dziecinę, to ona najprzód splunie trzykrotnie z uroczystą miną, przeżegna kilka razy cierpiące— zmówi modlitwę Pańską i Pozdrowienie Anielskie, poczem weźmie żarzący węgiel z dużego komina, w grubą szklankę do połowy napełnioną wodą wrzuci i patrzy weń, patrzy długo—proroczo— a biedna matka drżąc od niepewności i trwogi tuli swe dziecię z uczuciem do silnie bijącego serca.—Jeżeli węgiel płynie po wierzchu, to dobrze! jeśli zaś zatapia się źle! bo urok rzucony— wtedy zaczynają się nowe szepty, żegnania, wreszcie posmaruje i da rumianku, jeżeli Bóg przemienić raczy, to dziecię powraca do zdrowia i nowy tryumf dla Lekarki; jeżeli się pogorszy choroba lub umrze chory, to urok był za wielki, odjąć go nie mogła i jéj sława nie ucierpi na tem wcale. Znoszą jéj nawet koszule starszych, ciężko niemocą złożonych osób, aby je zażegnała; a cała jéj Apteka składa się z rumianku, bzu i lipowego kwiecia. Dopiero gdy choroba tak się wzmoże, że żadnéj nie zostaje nadziei, idą po radę do dworu— a zmartwiona Pani widzi, że już niema ratunku! Napróżno błagam,

proszę moich włościanek, aby w pierwszéj chwili słabości do mnie z ufnością dążyły, bo łatwo w samym zarodku choroby zniszczyć jéj siłę; mała tylko liczba nauczona smutnem doświadczeniem słucha przyjaznych rad moich, reszta zawsze pierwéj próbować musi szczęścia u Błaszkowéj.

Ale ja daleko odbiegłam od zapowiedzianego celu mego opowiadania, a wyście może ciekawi usłyszeć o tych oczach uroczych; jednakże ten ustęp potrzebny mi był koniecznie; wybaczcie mi więc, że nieco zboczyłam z drogi.

I.

Tak to nietylko w rzucone uroki silnie wierzą nasi włościanie, ale nadto utrzymują oni, że są osoby, mające także takie oczy, których jedno spojrzenie nieszczęście niechybne sprowadza. Otóż w jednéj z nadwiślańskich wiosek, Sulejowem zwanéj, żyła kobieta, któréj odmienne jedno od drugiego oczy za urocze okrzyczano. Rzeczywiście jedno miała błękitne jak niebo, a drugie zielone, niby spiekła słońcem trawa. Piotrowa Traczykowa (takie było jéj nazwisko) nie urodziła się w Sulejowie, pochodziła ona z dalekich okolic, i oto macie smutną historyę jéj życia.

Nie znała ona prawie rodziców, bo pomarli na cholerę, gdy zaledwo trzy lata liczyła; siostra jéj matki, owdowiała, zamożna, a do tego bezdzietna gospodyni przyjęła ją na wychowanie i jak swoję własną kochała. Ta ciotka jéj, Magdalena, tak była dobrą, rozsądną kobietą, że mała Marysia nie wiedziała nawet o tem, że jest biedną sierotą, gdyż ciotkę matulką swą zwała. Mijały lata, i z owéj Marysi śliczna wyrosła dziewczyna. Właśnie 18cie lat kończyła, gdy dnia jednego pędząc z paszy trzódkę swéj ciotki, naraz w głębokim parowie opodal od Wisły, téj królowéj rzek naszych, usłyszała żałosne jakieś jęczenie; z ciekawością spinała się po białych kamyczkach, które się pod jéj nogami staczały z łoskotem, i wdrapała się nad otwór rozpadliny—schyliła główkę, i krzyknęła, załamawszy ręce, bo tam na dole pod rozłożystym krzakiem jałowcu, leżał jakiś młody człowiek, znać flis, powracający z Gdańska.—Twarz jego zapadła, nosiła piętno srogiego cierpienia— tarzał się po spiekłéj murawie i błagał ratunku! pomocy!—Litością zdjęta Marysia, zsunęła się na dół parę kroków—i zapytała nieśmiało „cóż to wam jest? czego tak jęczycie, biedny człeku?“—„Ratujcie, na miłość Boga ratujcie!...umieram.. głowa mnie boli...pali...zdaje się, że pęknie z bólu, o! zlituj się, ratuj!... pić!...

Marysia jak sarneczka podskoczyła na górę, na któréj szczycie stała chata Magdaleny. Zastawszy ciotkę na podwórku, zadyszana, opowiedziała pospiesznie całe zdarzenie, i prosiła o pomoc dla nieszczęśliwego. Dobra ciotka, która w każdym człowieku widziała bliźniego, a każdy cierpiący był dla niéj bratem, nie ociągała się, ni namyślała, lecz przywoławszy swego parobka i drugiego krewniaka, kazała im przenieść chorego do swéj chaty, i złożyć na własnem łóżku. Obłożyła mu głowę zimną wodą i zostawiwszy pod opieką Marysi, pobiegła do dworu po radę.—Parę tygodni ciężko był chory, bezprzytomny zrywał się, krzyczał i wiele biedy i kłopotu zadawał swym opiekunkom, bo jego słabość była silnym tyfusem; pani téj wioski przysłała mu światłego lekarza, którego leki zwalczyły wreszcie chorobę i niebezpieczeństwo minęło.—Magdalena z Marysią nie ustawały w czułych staraniach, dzięki im najwięcéj, chory wracał do życia, i sił dawnych.— Gdy już powstawać zaczął i wszystko w chacie do dawnego wracało porządku, krewniak Magdaleny, ów Janek, co to dopomógł podźwignąć chorego, ujęty dobrocią Marysi, przysłał do niéj swaty.—Ucieszyła się bardzo ciotka, bo Janek był poczciwym chłopcem, i jedynakiem zamożnych rodziców, ale Marysia skryła się za piec, ani odebrać wódki, ani nawet wyjść nie chciała; próżne były prośby i namowy ciotki, próżno Janek przypominał jéj jak w przeszłe kusaki ochoczo z nim tańcować lubiła, a nawet pójść za niego obiecywała; napomknął, jak niejednę wstążkę już od niego przyjęła, a nawzajem sama dała mu pierścionek z Matką Boską, że zdradzać tak szczere kochanie to wielki grzech u Pana Boga i on za to ciężko karze. Rozdąsana dziewczyna, na te słowa wybiegła szybko, otworzyła skrzynkę, wszystkie wstążki rzuciła pod nogi Janka i napowrót wróciła za piec, a nieznajomy flis siedział pod piecem i uśmiechał się wesoło.— Odeszły swaty—zmartwiła się ciotka, ponowiła jeszcze naleganie: alež jéj słowa istny groch na ścianę, bo u Marysi w głowie co innego, a Marysi serce do owego przybysza już należało.— Zmiarkowała wreszcie i ciotka

co się święci, odgadła ich spojrzenia, dosłyszała szepty, a widząc, że już zdrów zupełnie, prosiła, aby opuścił chatę.— Wtedy Flis oświadczył swe zamiary ciotce, lecz ta wyrzekła stanowczo, że nigdy swéj Marysi nieznanemu człeku nie odda. Ale widząc łzy wychowanki, dodała, że jeżeli osiądzie w téj wiosce, i objąwszy służbę u którego z gospodarzy zachowa się dobrze— i wiernie przez rok — to Marysię za żonę dostanie. Flis ten nazwiskiem Piotr Traczyk przystał niby na to wszystko— ale w duszy niewdzięcznika inaczéj się działo — nie chciał on porzucać swéj wioski rodzinnéj; choć sierota, utrzymujący się tylko z flisostwa i zarobku, chciał jednak żyć i umierać między swemi.—Ale samolub kochał bardzo Marysię— i dał sobie słowo, że musi zostać jego żoną. Niepomny na odebrane dobrodziejstwa—i szlachetność Magdaleny— chciał jéj wydrzeć jedyną pociechę— tę ukochaną Marysię, którą tak troskliwie wychowała— wydrzeć ją wtedy, gdy jéj swą czułością sowicie wypłacać zaczęła poniesione trudy.— Nieprawda, że to byłoby haniebnie?

II.

Ale tak się stało, niewdzięczny Piotrek namówił kochającą go dziewczynę, aby z nim uciekła— długo ani słyszeć o tém nie chciała— ale jak zaczął zapewniać, że ciotka się pocieszy—że zawsze się musiałyby rozłączyć—jak jął opisywać ile z nim będzie szczęśliwą, jak tam cudnie w jego stronach— jakie jéj co rok z Gdańska przywiedzie korale—tak nieszczęsna, płocha dziewczyna uległa jego prośbom—i na ucieczkę przystała.— Dla niepoznaki pożegnał ciotkę— i przed wieczorem wyruszył niby w drogę— a w rzeczy schował się w krzakach parowu, i tam oczekiwał nocy. Gdy kur powtórnie zapiał, flis zbliżał się cicho do chaty.—Zabój nie szczeknął, bo znał go doskonale— podsunął się więc Piotr pod okienko i z lekka zastukał trzy razy. — Marysia nie spała, usłyszawszy znak umówiony, wzięła przygotowane zawiniątko. ucałowała nogi śpiącéj spokojnie ciotki— uklękła na progu— płakała, i modliła się chwilkę, a za powtórzonem pukaniem, odemknęła drzwi z lekka, i opuściła na zawsze chatę swéj dobrodziejki, swéj drugiéj Matki!... Nie będę wam opisywała smutnego obudzenia, żalu, i łez ciotki—to tylko powiem, że się tak zgryzła postępkiem siostrzenicy i niewdzięcznością Piotra— iż w parę dni dostała silnéj, panującéj wtedy gorączki— może też przejęła ją, pielęgnując chorego, dość że w dziesięć dni nowa mogiła przybyła na cmentarzu, mogiła Magdaleny, nieskrapiana łzami Marysi. — Dalecy krewni rozdzielili się jéj mieniem, o Marysi zapomniano, bo któżby miał o niewdzięcznicy pamiętać?.. Ciotka tylko jedna przebaczyła jéj przed śmiercią, pragnęła jeszcze raz ujrzeć i przekazała jéj wszystko, ale jéj słowa wraz z nią zagrzebane zostały.

A Marysia? Marysia wędrowała długo, długo z Piotrkiem, nieraz i głodu namarła, nieraz żałowała swego postępku, ale powracać nie śmiała. Przybyli wreszcie do Sulejowa. Piotrek kazał jéj przez dzień jeden zatrzymać się w bliskiéj wiosce, a potem, aby przyszła sama i objęła służbę na rok u któréj gospodyni, boby inaczéj proboszcz im ślubu dać nie zechciał. Usłuchała téj rady, przyszła do Sulejowa, mówiąc że jest biedną sierotą, że szła z bandosami na żniwo, ale zasłabła, i oddzielić się od nich musiała, a teraz chce wejść w służbę. Banaszkowa bogata gospodyni, potrzebowała właśnie dziewki, przyjęła ją chętnie, rok cały przebyła u niéj Marysia— a ten rok był już przedwstępem kary za jéj przewinienie. Banaszkowa była wielką złośnicą, wymagającą ciągłéj pracy; biedna dziewczyna przyzwyczajona do pieszczot ciotki, do jéj względności, lepszéj strawy, nie przywykła do tak ciężkiéj roboty, oblewała swój chleb gorzkiemi łzami, chciała już bądź co bądź wracać do rodzinnéj wioski, ale bała się puszczać saméj w tak daleką podróż. Przebiedowała więc rok, a po roku została żoną Piotra Traczyka. Parę miesięcy była dość szczęśliwą, bo Piotrek dobrym był dla niéj mężem, o ile możności chciał zagłuszyć wzajemne wyrzuty sumienia; ale gdy z wiosną usłyszał pluskanie wioseł, gdy doszły jego uszu piosnki flisów, ta ich cała pociecha, pożegnał młodą, ukochaną żonę, i daléj z innemi na galary, do Gdańska. Marysia została sama wśród obcych, co od niéj jakoś stronili, aż wrócił w jesieni Piotrek, przywiózł jéj pięknych bursztynów i korali, ale zarazem i smutną wiadomość o śmierci ciotki, którą zasłyszał w przechodzie przez jéj rodzinne sioło. O! płakała też biedaczka, płakała rzewnie, zda się, że wypłakała łez całe źródło, lecz znalazł się wnet

nowy ich zdrój, bo Marysia zostawszy wkrótce matką, parę dni tylko cieszyła się tą drogą nazwą; dziecię umarło, gdyż jéj pokarm przepełniony był żółcią. Odtąd ciągle smutna, żyła jedynie dla swego Piotra, a gdy i ten poszedł na zwykłą wędrówkę, zaledwie się Wisła z więzów zimowych wyswobodziła, Marysia myślała, że jej serce z żalu pęknie przy pożegnaniu, i utulić się długo nie mogła. Nie omyliło jéj przeczucie, o kilka bowiem mil za Warszawą, galar ładowny pszenicą zatonął, wiele ludzi zginęło w nurtach wody, a między innemi i nieszczęsny Piotr Traczyk!— Ujrzawszy wracających o niezwykłym czasie flisów, Marysia zadrżała, krzyknęła rozpacznie, i bezprzytomna upadła na ziemię... domyśliła się już biedna swego nieszczęścia...

III.

Wraz z Piotrem zatonęło ostatnie dobro Marysi, odtąd też nikt nie dojrzał uśmiechu na licach biednéj wyrobnicy, Piotrowéj—pracowała ona, aby żyć, a żyła, bo Bóg kazał do kresu dźwigać nieszczęść brzemię.

Na domiar kary, ludzie coraz więcéj od niéj stronić zaczęli— blade jéj oblicze, oczy odmienne, zawsze łzą zamglone, zamiast obudzać litość, odpychały ją od wszystkich. — A gdy jeszcze szczególniejszém zrządzeniem niezbadanych wyroków Przedwiecznego, Marysia raz szyła przed chatą sąsiadki, wziętą od niéj robotę, syn tejże siedmioletni, rozpustny Franek, wdrapał się na dach, aby wykręcać młode wróble—nagle obsunęła mu się noga, spadł na stos drzewa i złamał sobie rękę!... Cała wina spadła na oczy Marysi...Ah bodaj cię licho wzięło z twemi oczami!... krzyknęła gniewnie matka Franusia, odpychając silnie chcącą podnosić chłopaka Marysię. —Bledsza jeszcze jak zwykle i smutniejsza Piotrowa, odeszła do swéj lepianki, w któréj już samotnie spędzała wolne od pracy chwile. Chociaż Franek wyzdrowiał zupełnie, Marysi dola nie zmieniła się wcale; gdy szła przez wieś na robotę w pole, jak mogła najraniéj, a spotkała przypadkiem kogo, to odwracał się od niéj na bok, spluwając i szepcząc: a na psa urok!—Przy żniwie nikt do niéj nie zagadał, a gdy na domiar jéj nieszczęścia, jednego gorącego dnia sierpniowego, obok niéj stojącéj żniwiarki niemowlę dostało konwulsyj, przestrach wieśniaków zwiększył się bardziéj; zwiększyła się siła wiary w urocze oczy Marysi, i na oddalonym tylko zagonie żąć jéj było wolno. W milczeniu zniosła tę nową przykrość i ofiarowała Bogu za swe dawne przewinienie. Wystawcie sobie okropne położenie téj biedaczki, nie miała ona przyjaciela—znikąd nie usłyszała słowa współczucia ani pociechy! Gdy wieczorem wracała do siebie ostatnia, umykano przed nią, jak przed złem powietrzem.... Idzie! idzie! wołano, a gospodarz porzucał swój wóz napełniony zbożem, i krył się w najbliższéj chacie, kumy zamykały z pośpiechem drzwi swoje, małe nawet dzieci uciekały, krzycząc z całego gardła: *urocze oczy*! oh *urocze oczy*! *precz*! *precz*!

—A Marysia zahartowana w szkole cierpienia, znosiła to wszystko z anielskiem poddaniem się karzącéj ją prawicy i prosiła Boga, aby jak najprędzéj ostatnia jéj godzina wybiła. — Wysłuchane były jéj błagania, i następne zdarzenie przyniosło smutny koniec jéj męczarni. Właśnie wracała od grabienia siana, już się dobrze zmierzchło, szła, szepcząc Anioł Pański na odgłos jęczącego dzwonu— wtém z pobliskiego błonia rozległ się tętent, to chłopak pędził stadninę.—Piotrowa zeszła z drogi i kryjąc swe oczy ręką, bo doprawdy zaczynała się sama lękać ich władzy, usiadła pod rozłożystą lipą, co opodal stała—nadbiegły w pląsach żwawe koniki, chłopak siedział na najpiękniéjszym źrebcu, i pogwizdując, poganiał batem swe stadko.—Na raz koń jego dostrzegł bielejącą się spódniczkę, i sterczące na ramieniu Piotrowéj grabie—przestraszony skoczył w bok, stanął dęba i zrzucił jeźdźca, który upadając o kamień przydróżny, rozbił sobie głowę. Z głośnym płaczem przybiegła Piotrowa i swoim fartuszkiem płynącą krew tamować zaczęła. Na jéj krzyk zbiegli się ludzie, a ujrzawszy chłopca bez zmysłów i głowę jego zbroczoną w rękach uroczéj Marysi, *czarownica*! zawołali z oburzeniem — *precz stąd*! *czarownica*! *zabiła go*! *precz stąd urocze oczy*! Popychana, zelżona, prawie obłąkana zaledwie trafiła do chaty — tam ze ściśniętém sercem zrobiła zawiniątko swych rzeczy, zarzuciła je na plecy, i myślała długo, w którąby się udać stronę: serce ciągnęło ją do swoich, ale niestety! czyż trafi tak daleko i kto wie jak tam będzie przyjętą?... Myślała wzdychając, lecz nie płakała, bo i łez już nie stało; wreszcie przypomniała sobie, że o mi-

lę od wsi jest duży las, w którym często zbierając grzyby i jagody dla ekonoma (bo na jéj nieszczęście państwo nigdy nie mieszkali w Sulejowie), zapoznała się z żoną mieszkającego tam smolarza.—Wiedziała, że ta kobieta obarczona dziećmi, potrzebuje kogo do pomocy. Podziękowała niebu za tę myśl, błagała Boga, aby oddalił już od niéj kielich goryczy, i sprawił, iżby raczéj oślepła, niżby jéj oczy nieszczęście przynieść miały w nowéj siedzibie.—Poczem wyszła z pośpiechem—nie miała się z kim żegnać, nawet na mogile męża zapłakać nie mogła, bo Wisła była jego cmentarzem, wyrzekła więc tylko... o Piotrze, drogi Piotrze! ciotko, moja matko! zlitujcie się, ubłagajcie Pana, aby mnie wkrótce z wami połączyć raczył!.. To rzekłszy, opuściła już Sulejów na zawsze.

IV.

Smolarz i jego żona przyjęli Piotrową chętnie, a dzieci ich pokochały ją odrazu, bo im na początek podarowała swe złociste bursztyny, i *dobrą Piotrową* starsze, *a swoją Marysią* młodsze ją nazwały. Mijały tygodnie, miesiące, odetchnęła nieszczęsna, bo zdało się, że jéj oczy straciły już swój urok wraz z odmianą miejsca —pracowała, ile jéj sił stało, była pomocą w gospodarce i drugą matką dla siedmiorga dzieci węglarzy, a ci jéj się odpłacali sercem, chlebem i czem mogli... I już dawno Piotrowa nie pamiętała tak błogich dni! z jakiemże uczuciem dziękowała Ojcu wszystkich ludzi za tę pociechę. Tak upłynęły dwa lata—ona nie zajrzała do Sulejowa, nawet do innego kościoła chodziła, aby nie spotkać nienawistnych—w lesie kryła się w gęstwiny, gdy przypadkiem znajomą dziewczynkę na jagodach spotkała. Aż tu razu jednego, gdy zbierała gałęzie na opał, znagła usłyszała rozpaczne jęki i łkania, wychodzące z samego środka lasu; idąc za popędem dobrego serca, niezrażonego złością ludzi, biegła tam, gdzie ją okrzyki boleści prowadziły, przedzierała się przez zarośla, krzaki, ręce jéj pokłute rozrywały pnące się jerzyny, jęki coraz bliższe — wreszcie widzi kobietę, uciekającą z przerażeniem już prawie bez tchu. Mała dziewczynka uczepiona u jéj spódnicy, ostatnich sił dobywa, by spieszyć za matką, a za niemi tuż pędzi zajadła wilczyca z roziskrzonem okiem, z roztwartą paszczą, znać naszły jéj legowisko; już wilczyca chwyta prawie ustającą dziecinę—jeszcze chwilka, już będzie po niéj.... gdy prędsza jak myśl, Piotrowa, rzuca się pomiędzy nich, i dziewczę sobą zasłania. Kobieta osłupiała, stanęła przerażona, a wilczyca ujęła nogę szlachetnéj ich zbawczyni.... Piotrowa ciężko jęknęła i zemdlała z bólu. Na szczęście nadbiegł węglarz, jednem cięciem siekiery, powalił rozżartego zwierza który w śmiertelnych drganiach silniéj zacisnął w paszczy zdruzgotaną nogę nieszczęśliwéj. Z trudnością wydobył ją poczciwy węglarz a porwawszy w swe zaczerniałe objęcia zemdloną—O mój Boże! to ona!... wykrzyknął z rozpaczą.,.

Ah to ona! to urocza Marysia Piotrowa! wtórowała ocalona kobieta i jéj dzieci, to ona! wybawiła nas, a ja jéj tak dokuczałam, tak ją lżyłam!.. Była to bowiem ta kobieta, któréj dziecię zasłabło niegdyś przy żniwie, a ta dziewczynka, tém właśnie była dziewczęciem: ta kobieta była największą nieprzyjaciółką Piotrowéj, ona najwięcéj zniesławiła jéj niewinne oczy. Węglarz zaniósł bezprzytomną do swéj chaty, żona, dzieci, z głośnym płaczem ratowały ją jak umiały; ocalone całowały zimne jéj ręce, przepraszały, otworzyła wreszcie oczy Piotrowa..poznała ich... zrozumiała, co mówią, i słabym głosem szepnęła: ah! przynajmniéj raz moje oczy ocaliły kogo?...powiedzcie mi jeszcze, czy ten chłopiec od stadniny!.. żyje?..,

—Żyje, zdrów zupełnie, odrzekła kobieta.

—Boże, dzięki Ci! szepnęła znów Piotrowa i na nowo zmysły straciła. Rana jéj była okropna, rozżarta bowiem wilczyca, że odkryto legowisko dzieci, pół nogi prawie roztrzaskała. Nadaremnie owa kobieta wróciwszy do Sulejowa, sprowadziła dla zranionéj lekarza z pobliskiego miasteczka, codzień widocznie słabła, nikt jednak nie słyszał jéj narzekania, owszem cieszyła się, widząc ulatujące życie; bo ufała miłosierdziu Boskiemu, że już tu odpokutowała za grzechy, i tam szczęśliwa połączy się z ukochanymi.— Poprosiła o księdza, a przyjąwszy Sakramenta ŚŚ. oddawna po raz pierwszy się rozśmiała, wznosząc oczy ku Niebu.

Mieszkańcy Sulejowa, dowiedziawszy się o całem zdarzeniu, nie szczędzili darów i ofiar na doktora i aptekę, a słysząc, że lada dzień umrzéć musi, bo gangrena wdała się w nogę, a Marysia za słaba do zniesienia amputacyi, poszli prawie wszyscy do lasu, widzieć ją raz jeszcze i

nie lękając się już uroku przygasłych oczów, błagali ją o przebaczenie.

Marysia Piotrowa przyjmowała ich mile, mówiła, że oni niewinni, tylko Bóg chciał ją tak ukarać za jéj przewinienia.

Gdy odeszli, rozdała wszystkie swe rzeczy dzieciom węglarza, prosząc, aby czasem Zdrowaśkę, za duszę jéj i Piotra zmówili, a uśmiechnąwszy się do nich, westchnęła raz jeszcze, niby na zakończenie cierpień ziemskich, i dusza jéj uleciała do Boga.

Rodzina węglarza parę dni utulić się od żalu nie mogła.

Gromada Sulejowska złożyła się na jéj pogrzeb, mąż nawet ocalonéj kobiety z dziecięciem, postawił krzyżyk na jéj mogile.

Tak to lud nasz ma dobre serca, nieszczęsne gusła i przesądy zabijają niejedno szlachetne uczucie. I tu po niewczasie żałowali Piotrowéj, nie szczędzili jéj datków; chociaż gdy żyła, nie mieli dla nieszczęsnéj ani jednego słówka pociechy, pomiędzy liczną gromadą nikt nie chciał być obrońcą niewinnie uciśnionéj, nikt łzy jéj nie otarł, nikt na wsi ręki pomocy jéj nie podał!...

A co na to powiecie, gdy na zakończenie wyznam wam jeszcze, że na pogrzebie Marysi żony Piotra Traczyka, znaleźli się i tacy co mówili:

—Bądź co bądź, może kumo! lepiéj się stało, że raz umarła, bo niech ta będzie jak chce, ale ona miała oczy urocze.

—A jużcić prawda, mój kumie, a niech ta z Bogiem spoczywa!

Domownicy i słudzy dawni.

III.

Stanisław Zak....

—

Stanisław był kawalerskim jeszcze sługą ojca mego. Nie piśmienny, w niższéj zostający kondycyi, odznaczył się wiernością i przywiązaniem do pana; dlatego równie zasługuje na dobre wspomnienie, na moję wdzięczność i pamięć. Przeżył on ojca mego o lat siedmnaście.

A pamiętam w dzieciństwie, jak nieraz do niecierpliwości ojca doprowadził, że aż mu bywało za drzwi pójść każe;— i po tem mówi wzruszony: co mi ten Stanisław krwi napsuje! Nie chwali mu się to zapewne, ale obydwom zaszczyt przynosi, że ani ojciec nie odprawił Stanisława, ani Stanisław ojcu nie podziękował za służbę. Znośne bo są w pożyciu wady wrodzone usposobieniu; tylko wad złéj woli i serca znieść niepodobna, zwłaszcza jeżeli już nie ma nadziei poprawy.

W r. 1831ym wziąłem Stanisława na szafarza do mojego domu w mieście powiatowem, gdzie mi z urzędu przemieszkiwać wypadało. Poczciwy starzec zawsze mnie podwójnie zwykł był nazywać, mówiąc *Mosanie E...* (po imieniu) i zaraz poprawując się: *Mosanie Marszałku*. I pierwsze miano słodsze mi było nierównie.

Dopieroż było co słuchać, zaczepiwszy Stanisława o dawne czasy. Lubił na tę niwę przeszłości sprowadzać starca Hr. T... Starszy mój kolega urzędu, bił na wystawy i zbytki teraźniejsze. Coby to było Panie Zak... gdyby to P. Podstoli wstał i obaczył te zbytki dzisiejsze!?— Oj, Boże mój! coby to było! domawiał Stanisław. I my żyliśmy z ludźmi, ciągnął daléj, i bale dawali, imieniny obchodzili, i więcéj ludzi bywało u nas na raz, aniżeli tu przez rok u P. Marszałka. Bo i cóż to, na trzydzieści osób stół; wielka parada! a wina po butelce na osobę nie wypiją, za kilkadziesiąt czerwonych złotych pójdzie... ptfu! i do tego się jeszcze pochorują... Boże odpuść, z obżarstwa,— a na stole! co tam terefelów? wie go diabeł do czego.... jak w sklepie norymbergskim, tylko na stłuczenie i szkodę; a co to kosztuje Mosanie! Dawniéj bywało, to na stole stawiali, co można było zjeść: piramidy migdałowe, cukry, galarety, marcepany. A teraz, do czego te bawidełka dziecinne?— A przecież P. Stanisławie! i dawniéj zastawiali stoły taflami, zwierciadłami albo srebrnemi, nawet porcelanowemi i innemi figurkami!— Figielkami, figielkami, szydersko powtórzył Stanisław. Zbytek to te figielki, posprowadzał z zagranicy, na naszą zgubę... i już odpadała Stanisławowi ochota daléj rozprawiać o staroświeckich ucztach i balach P. Podstolego... na których maślacz dla Dam, a wytrawny węgrzyn dla mężczyzn, zbutelkowany ręką Stanisława, dodawały ochoty. I błogie to były czasy, w porównaniu późniejszych. Miał racyę Stanisław... i nie żałował on tego świata, który miał rychło opuścić.

Było to latem 1832 r.: okazała mu się puchlina w nogach; wezwałem doktora; przepisał on mu jakieś lekarstwa. Ale jednego poranku, niestało Stanisława i jego wnuczka *Mrozia* (Ambrozia), którego miał przy sobie: umknął cichaczem na wieś, aby tam na swojéj ławie umrzeć... Był to najdawniejszy ze sług ojcowskich, i najdłużéj go przeżył, a ostatni, ze sług jego ten świat opuścił.

Kowal.

Mieszkańcom miasta Wielunia długi czas dziwną się wydawała szczególna zabiegliwość Kowala, człowieka zkądinąd bardzo trzeźwego i oszczędnego, który lat temu kilkanaście, przez ciąg kilku miesięcy do bardzo późnéj nocy w kuźni swojéj pracował.

Następująca okoliczność zapozna nas z nim bliżéj.

Pan Bartochowski obywatel zamożny, bawiąc chwilowo w Wieluniu, przechodził raz w noc późną około kuźni jego, a słysząc go robiącego, chciał wiedzieć, co go zatrzymywało tak długo przy warsztacie i czy nie mógł się utrzymać z zarobku dziennego bez nocnéj pracy i trudu?

„Nie dla siebie ja to robię, odpowiedział kowal, ale dla mego sąsiada, który pogorzał. Idę spać późniéj dwiema godzinami, i o tyle raniéj wstaję, abym dał temu nieszczęśliwemu dowód mego przywiązania. Gdybym posiadał coś zbywającego nad to, co wraz z swoją familią potrzebuję, podzieliłbym się z nim chętnie; ale mam tylko to kowadło, a przedać go nie mogę, gdyż z niego żyję. Bijąc w nie dłużéj cztery godziny, to czyni na tydzień dwa dni, których zarobek mogę przyjacielowi ustąpić. Bogu dzięki, nie brak roboty w téj porze, a mając ręce zdrowe, należy ich używać na poratowanie bliźniego.“

—„To bardzo wspaniale z twéj strony, rzekł pan Bartochowski, bo według wszelkiego podobieństwa sąsiad nie odda ci tego nigdy.“

—„Niestety! boję się o to bardzo, nie dla siebie, ale dla niego; lecz jestem pewny, żeby i on to samo dla mnie w potrzebie uczynił.“

Pan Bartochowski, nie chcąc go dłużéj odrywać od roboty, pożegnał się z nim i odszedł.

Nazajutrz, wywiedziawszy się lepiéj w miasteczku o uczciwem życiu kowala, odłożył sobie 800 złotych t. j. 120 rs. i udał się do niego, chcąc nagrodzić jego dobroczynność i dać mu sposobność kupowania żelaza z pierwszéj ręki, oraz przedsiębrania większych robót, a tym sposobem zaoszczędzenia sobie nieco pieniędzy na starość. Ale jakże się zdziwił, gdy kowal mu odpowiedział:

—„Nie mogę przyjąć tych pieniędzy, a to dla tych powodów. Jestem w stanie kupować żelazo, którego potrzebuję, a w przypadku kupiec da mi na poczekanie. Byłaby to więc wielka z méj strony niewdzięczność, gdybym chciał go pozbawić sprawiedliwego zysku na jego towarze, kiedy on dostarczył mi go za sto talarów wtenczas, gdy miałem tylko jednę suknię na sobie. Łaskawy Pan możesz lepiéj użyć tych pieniędzy, pożyczając je bez procentu nieszczęśliwemu pogorzelcowi, memu przyjacielowi: on będzie mógł tym sposobem poprawić swoje interesa, a ja sypiać, ile potrzebuję dla pokrzepienia sił moich.“

Pan Bartochowski, nie mogąc nakłonić żadną miarą tego cnotliwego i prawdziwie zacnego człowieka do przyjęcia pieniędzy, wykonał jego radę, i tym sposobem dwóch ludzi uczynił szczęśliwymi.

Zdania.

1. Dobry syn u ojca, dobry będzie uczeń i obywatel.
2. Fortuna macza kwiaty w goryczy, i tak rozrzuca je na ludzie.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 4 (16) Września 1856 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.